

Nagroda Magellana 2022
w kategorii «książka reportażowa»



WOJCIECH GANCZAREK

SPRZEDANI

REPORTAŻE Z PERYFERII

Wydawnictwo Uważne

SPRZEDANI

REPORTAŻE Z PERYFERII



SPRZEDANI

REPORTAŻE Z PERYFERII

WOJCIECH GANCZAREK

Tytuł oryginału: *Se vende un país. Relatos de Paraguay*

Tekst i tłumaczenie: Wojciech Ganczarek

Korekta: Ewa Ganczarek, Tomasz Zagórski, Paweł Pesz

Ilustracje: Hanna Stano, www.w-mateczniku.pl

Skład: Wojciech Ganczarek

Konsultacja naukowa: Urszula Kędzierska (podrozdział „W Paragwaju”)

Projekt okładki: Wojciech Ganczarek

Ilustracja na okładce: Hanna Stano

-
- Visegrad Fund
- •

Projekt zrealizowany przy wsparciu Funduszu Wyszehradzkiego.

Wydanie II, poprawione

ISBN: 978-83-963290-5-9

Copyright © Wojciech Ganczarek 2023

www.wojciechganczarek.pl • w.ganczarek@gmail.com

SPIS TREŚCI

Spis treści.....	5
Przedmowa do wydania polskiego.....	7
Narracje (1).....	13
Przedmioty (1) Bęben.....	18
Miniatury z Javierem (1) Lekcja historii.....	33
Narracje (2).....	34
Prasa (1) Małe miasto tanio sprzedam.....	38
Narracje (3).....	40
Bez kategorii (1) Krótkie czasy niekolonialne.....	48
Narracje (4).....	62
Opowieści chakeńskie (1) Ogrom.....	67
Narracje (5).....	82
Miejsca (1) Pałac.....	89
Miniatury z Javierem (2) Horyzonty.....	91
Życiorysy (1) Takie tam.....	92
Przedmioty (2) Orchidee.....	96
Przedmioty (3) Empanada.....	117
Narracje (6).....	121
Bez kategorii (2) Kiedy nadjeżdżasz z północy.....	129
Prasa (2) Turystyka prekolumbijska.....	150
Bez kategorii (3) To słowo.....	166
Opowieści chakeńskie (2) Spotkanie.....	168
Bez kategorii (4) Tak mówić.....	180
Narracje (7).....	183
Media alternatywne (1) Wojna.....	198
Miejsca (2) Boisko.....	209
Miejsca (3) Więzienie.....	211

Narracje (8).....	213
Przedmioty (4) Świeczka.....	222
Prasa (3) Samochód dyktatora.....	230
Narracje (9).....	236
Przedmioty (5) Por.....	252
Bez kategorii (5) Teoria Paragwaju.....	259
Miniatury z Javierem (3) Obfitość.....	276
Bez kategorii (6) Rachunek.....	277
Opowieści chakeńskie (3) Mity i legendy.....	279
Prasa (4) Przypadek raka.....	301
Narracje (10).....	314
Miejsca (4) Wiata.....	325
Życiorysy (2) Przeprowadzki.....	330
Bez kategorii (7) Wolny rynek jest dobry, bo jest [...].....	335
Opowieści chakeńskie (4) Kolonizacja.....	337
Miejsca (5) Stoisko.....	368
Narracje (11).....	371
Słownik regionalizmów.....	377
Bibliografia.....	379

PRZEDMOWA

DO WYDANIA POLSKIEGO

Podczas pobytu w Wenezueli w latach 2014-2016 miałem okazję zapoznać się z lokalnymi publikacjami z dziedziny nauk społecznych. Czytałem o tym, jak ludy Ameryki Łacińskiej wspólnie przeżywały kolejne procesy niełatwej historii. Razem cierpiały brutalną inwazję Europejczyków w XVI wieku, wraz z którą rozpoczął się stopniowy proces anihilacji miejscowych kultur. Trzysta lat później młode narody symultanicznie zachłystywały się niepodległością tylko po to, by zaraz po jej uzyskaniu przekonać się, że jedyne zmiany, jakie przyniosła ze sobą wyidealizowana wolność, dotyczyły kolorowej flagi, godła i oficjalnej nazwy nowej republiki. Ucisk nie zelżał, władza pozostała w rękach oligarchii ziemskiej pochodzenia europejskiego, a morskie porty całego kontynentu w dalszym ciągu wysyłały (i wysyłają) za ocean złoto, srebro i inne surowce.

Podobieństwa historyczne wśród sąsiadów są tak ścisłe, że poszczególne kraje kontynentu dzielą się między sobą bohaterami narodowymi. Podczas rocznic państwowych prezydenci Boliwii, Kolumbii czy Wenezueli wypowiadają słowa wdzięczności pod adresem Simóna Bolívara, natomiast Peruwiańczycy, Chilijczycy i Argentyńczycy wiążą własną suwerenność z postacią generała San Martina. W ostatnich dziesięcioleciach z coraz większą siłą powraca idea unifikacji regionu w jeden byt społeczny i polityczny. To zrozumiałe, bo granice latioamerykańskie rzadko oddają rzeczywiste podziały kulturowe czy etniczne. Jeden z najbardziej wpływowych głosicieli idei zjednoczenia, Argentyńczyk Jorge Abelardo Ramos, swój tom dziejów kontynentu

zatytułował „Historia N a r o d u Latinoamerykańskiego” [wyróżnienie moje – W.G.].

Od powyższej reguły jest jednak jeden wyjątek i nazywa się Paragwaj. Paragwajczycy dysponują bardzo szczególnym pojęciem przynależności narodowej. Nie wiążą własnej historii z Simónem Bolíwarem, a zwycięstwo w styczniu 1811 roku nad wojskami dowodzonymi przez bezpośredniego poprzednika generała San Martina, Manuela Belgrano, celebryją jako pierwszy sukces narodowych sił zbrojnych. W kolejnych latach, podczas gdy resztą kontynentu rządził wąski odsetek najzamożniejszych, w Paragwaju odbywały się wybory powszechne. Kiedy Wielka Brytania urabiała Argentynę i Brazylię na własne kolonie handlowe, w Paragwaju kiełkował przemysł. W czasie gdy elity polityczne z całego kontynentu marzyły zrobić z Ameryki Południowej wierną kopię Europy Zachodniej, José Gaspar Rodríguez de Francia, przywódca Paragwaju, przemawiał w języku guaraní. Zainteresowałem się. I chociaż przeczytałem również, że wielka wojna z lat 60. XIX wieku pogrzebała pierwotne aspiracje śródlądowej republiki, Paragwaj zaczął mi się jawić jako enigma, zagadka, wyzwanie. Dodatkowo jest krajem mało znanym, a wszystko co mało znane, co marginalne, zawsze interesowało mnie bardziej.

Gdy w marcu 2017 roku przekraczałem granicę w Ponta Porã, wyobrażałem sobie, że oto zaczyna się podróż quasi-archeologiczna. Zamierzałem odwiedzać wioski i miasta, przekopywać ludzkie wspomnienia z żywą żądzą odnalezienia tamtego mitycznego, antykolonialnego państwa sprzed półtora wieku. Sądziłem, że to przeszłość zainteresuje mnie najbardziej. Pomyliłem się. Współczesność Paragwaju objawiła się jeszcze bardziej intrygująca niż jego barwna historia.

Dzisiaj proponuję spojrzeć na Paragwaj na trzy sposoby. Po pierwsze, zwracając uwagę, że aktualna kondycja kraju to podręcznikowy, wręcz przerysowany przykład efektów globalizacji. Jeśli ktokolwiek zastanawia się, w jaki sposób nasza codzienna dieta wpływa na zjawiska społeczne i środowisko naturalne na peryferiach współzależnego świata, Paragwaj stanowi najbardziej klarowną z odpowiedzi. Jeśli interesuje nas dynamika aktualnych trendów gospodarczych, takich jak monopolizacja handlu żywnością czy tak zwany *land grabbing*, i chcielibyśmy

śledzić te procesy z bliska, najprościej wybrać się do Paragwaju. Jeśli pragniemy zrozumieć, po co w dalszym ciągu masowo wycina się lasy, nasze dociekania powinny zmierzać w dokładnie tym samym kierunku.

Po drugie, Paragwaj skolonizowano ponownie na przełomie XIX i XX wieku. I nie naciągnę faktów, jeśli powiem, że proces kolonizacji trwa do dziś. Zadane rany są świeże, konflikt między miejscowymi a przyjezdnymi wyczuwa się w powietrzu. Paragwajscy *criollos* życzą najgorszego brazylijskim imigrantom, którzy nie dalej niż czterdzieści lat temu zajęli ich ziemię, a naród Enlhet z regionu Chaco oskarża menonitów przybyłych w latach 20. XX wieku o wykarczowanie ich leśnego świata. Rodzice i dziadkowie tych, którzy dziś cierpią głód i niepowodzenia, pamiętają jeszcze, że dawniej powodziło im się znacznie lepiej. I zdają sobie sprawę, kto narzucił niekorzystne zmiany. Jeśli zastanawiamy się, jak mogły wyglądać nastroje społeczne w Ameryce zaatakowanej przez Hiszpanów pod koniec XV wieku, i jak rozwijało się tamto zderzenie kultur, poglądów i cywilizacji, współczesny Paragwaj może dać nam pewne wyobrażenie na ten temat.

Wreszcie po trzecie: historia. Mówi się, że wyjątek potwierdza regułę. Więcej nawet: przypadek odstający od normy oferuje nowy punkt widzenia i pozwala lepiej daną normę zrozumieć. W tym duchu uważam, że osobliwe koleje losu paragwajskiej republiki lat 1811-1870 stanowią klucz do głębszego zrozumienia dziejów Ameryki Łacińskiej. I chociaż pozornie nie rzucają się w oczy, na ślady i konsekwencje wydarzeń z przeszłości bez trudu natrafimy w paragwajskich domach i w codziennych konwersacjach, na polu i na ulicy.

Książkę napisałem w języku hiszpańskim. Taki wybór był podyktowany między innymi chęcią zachowania w formie nietkniętej niektórych zwrotów i wyrażeń charakterystycznych dla paragwajskich użytkowników tego języka. W tłumaczeniu na język polski, które zrealizowałem podczas wielomiesięcznego zamknięcia wymuszonego przez pandemię Covid-19, starałem się zaznaczać *paraguaismos* wszędzie tam, gdzie było to możliwe.

Wydaje mi się, że w sposób nieuświadomiony z mojej strony, struktura utworu została podyktowana dynamiką współczesności, co nie-
zwykle trafnie tłumaczy brazylijski filmoznawca Ismail Xavier:

Proces ekspansji globalnego rynku prowadzi do kompresji czasoprzestrzennej, która dotyka nas wszystkich i utrudnia zrozumienie własnych doświadczeń jedynie z perspektywy lokalnej. Historie osobiste stają się zależne od szerokich procesów społecznych, wykraczających poza percepcję indywidualną, przez co tracą na efektywności narracje oparte na linearnym rozwoju historii bohaterów, których ciągłość zapewniały dawniej interakcje międzyludzkie ograniczone do określonego otoczenia. Tak jak przyczynowość przeżywanych doświadczeń stała się bardziej abstrakcyjna, tak i sposoby jej reprezentacji oparte na nieciągłościach, zestawieniach i obszernych sieciach ledwie dostrzegalnych połączeń wydają się dysponować większą zdolnością odzwierciedlania logiki działań indywidualnych i ich znaczenia w kontekście społecznym.

Równoległe z książką „Sprzedani. Reportaże z peryferii” nagrałem film dokumentalny „Jestem Paragwajczykiem” (hiszp. *Soy paraguayo*, 92', 2019). Tak w filmie, jak i w książce historie osobiste, fakty i obrazy przeplatają się, urywają i pojawiają ponownie, tkając miarowo wielobarwny kilim rzeczywistości. Różne co do treści, film i książka dzielą ze sobą liczną grupę bohaterów.

Blisko roczną podróż po Paragwaju – od wschodu po zachód, z północy na południe, po wszystkich siedemnastu departamentach śródlądowej republiki – odbyłem na rowerze. Czy przystoi, by reporter poruszał się na dwóch kółkach? Cóż, przystojność to bez wątpienia kwestia gustu. Dla mnie rower jest nie tylko pojazdem służącym do pokonywania dystansów. To także niezastąpiony wehikuł, który w magiczny niemal sposób popycha pasażera w bliskość z Innym. Pozwala dotrzeć tam, gdzie żyje Inny, jeść to, co je Inny, wdychać kurz ziemi, który wdycha Inny, cierpieć ten sam upał i ten sam deszcz, które smagają Innego na co dzień. Innymi słowy, pozwala odczuć choćby ułamek tego, co Inny czuje.

Zapraszam w podróż. Niewykluczone, że pojawią się momenty, w których Czytelniczka lub Czytelnik poczują się obco: zagubieni pośród nieznanymi postaci, nazw i realiów. Nic nie szkodzi. To w podróży normalne, wszystkim nam się zdarza. W Paragwaju używa się wyrażenia *mirá un poco*, odpowiednika polskiego „no zobacz”. *Mirá un poco* można dosłownie przetłumaczyć jako „popatrz odrobinę”, gdzie cząstka *un poco* dodaje stylistycznie pewnego uczucia lekkości. Nie chodzi więc o patrzenie intensywne, natarczywe, wymagające natychmiastowej odpowiedzi, twardych danych czy informacji. Ośmieliłbym się przetłumaczyć *mirá un poco* jako „daj sobie czas, by popatrzeć”, tak jak w podróży dajemy sobie czas, by pobyć z drugim człowiekiem, nie wiedząc do końca, co w takim spotkaniu miałyby się wydarzyć. Wracając do książki: czas minie i – według opinii Carli Canistry, korektorki wydania hiszpańskojęzycznego – w pewnym momencie Czytelniczka lub Czytelnik zauważą, że zaczynają nasiąkać Paragwajem, chłonąć kraj przez skórę razem z jego językiem, temperaturą, pejzażami i zapachem wilgotnej ziemi. Życzę szerokiej drogi!

NARRACJE (1)

OTWIERA drzwi samochodu, waha się przez chwilę i stawia stopę na mokrym asfalcie. A jeśli rzeczywiście, myśli. Na ulicy nie widzi nikogo: jest niedziela, godzina siódma wieczorem na jednej z podrzędnych dzielnic Buenos Aires. I na pewno, mówi do siebie, ale co teraz. Uliczne psy żegnają szary, deszczowy dzień żalonym zawrotem głowy. Chłód późnej zimy, lodowata mżawka i teraz to. Co on w ogóle chciał, wzdycha ciężko, po takich ludziach wszystkiego można się spodziewać. Stawia drugą stopę, podnosi się i opiera na wpółotwartych drzwiach samochodu. Nie mówi nic więcej: twarz blada i bez wyrazu, mięśnie napięte aż do bólu. Wygląda, jakby jeszcze oddychał, myśli. Krew rozchodzi się po asfalcie w ciemnych, gęstych strugach, które rodzą się przy głowie i płyną w kierunku krawężnika. Na policzkach, tak mu się wydaje, majaczy blady rumieniec życia. Cabrera urywa opowieść niespodziewanie, rozchyła milczące usta. W upalnej wilgoci południa wspomnienia wibrują jak żywe.

Miasteczko leży na grzbiecie jednego z tysięcy wzgórz na dalekim wschodzie departamentu Caazapá. Błotnista droga rozdziela dwa rzędy niskich domów. Zaraz za nimi, tak po prawej, jak i po lewej stronie, strome, zielone stoki zbiegają błyskawicznie do szumiących w dole strumieni.

– Woda opadnie lada chwila – Cabrera zmienia temat. – Zobaczysz: pół godziny i po sprawie.

Zaczęło padać wcześniej rano i od samego początku obficie. Masy wody płynące po gruntowej drodze w przeciwnych kierunkach spotykały się między domem Cabrery a sklepikiem obok i spadały w dół

z wściekłością nieprzystającą do zwyczajowego spokoju okolicy. Głęboki jar pochłaniał wszystko. Jak tak dalej pójdzie, pozrywa mosty, to Cabrera w roli mędrca, żebyś potem nie mówił, że cię nie ostrzegałem, Marquito. Z czasem w dole, w miejscu nieśmiałego strumienia, urosło jezioro. Kiedy gwałtowną burzę zastąpiła lekka, ciepława mżawka, miejsce zaroiło się od wędkarzy.

– To dlatego wróciłeś? – mówi Marcos po hiszpańsku, ale z wyraźnym akcentem portugalskim, który u brazylijskich imigrantów nie zanika nigdy.

– Musiałem – odpowiada Cabrera niechętnie. – Zanim trafiłbym za kraty, dopadliby mnie jego wspólnicy, jego ludzie, zwał jak zwał.

Marcos kiwa głową. Co zrobić, myśli. Jasne, że musiał, Cabrera, Marcos rozumie. Cabrera zdaje się nie słuchać: podnosi głowę, opiera się głęboko w fotelu z plecionych kabli i gubi wzrok w oddali, będziesz tak siedział cały dzień, przyjacielu? Przed domem, po drugiej stronie drogi, stoi ciężarówka załadowana pniami eukaliptusów. Co jakiś czas przejeżdżają pick-upy o ubłoconych burtach, zobacz, zdaje się, że mosty są przejezdne. I kto wie, Marquito, pewnie właśnie jadą zobaczyć, jak się sprawy mają.

– Jeśli musimy już tu zostać, przynajmniej coś zjedzmy – wybucha Marcos z dobrze udawanym ożywieniem. – Kura z warzywami gotowana na ognisku: dużo cebuli i zapach palonego drewna, co ty na to?

– Palonego węgla, chciałeś powiedzieć – Cabrera uśmiecha się z ironią: ręce zaciskające oparcie fotela, głowa Cabrery nachylona lekko do przodu, jego ciemne oczy utkwione w błękitnych Marcosa.

Marcos milczy.

– Leje drugą dobę, Marquito, drewno masz już pewnie solidnie przemoczone – Cabrera wstaje, poprawia spłowiełe spodnie i znika za drzwiami.

Mieszka po sąsiedzku.

Krzyki: że nie trzeba, Cabrera, że on, Marcos, sam suchego drewna poszuka i sam je rozpali. Chyba oszalał, niech nie odstawia cyrków, kaszel, śmiech i ochrypy głos Cabrery. I Marcos: że Cabrera powinien przecież dobrze wiedzieć, że na drewnie smakuje zupełnie inaczej.

Głos Marcosa dochodzi potężny, niski. Łatwo penetruje drewnianą część domu Cabrery – tę, która wychodzi na ulicę – i odbija się echem w tylnej części, wzniesionej z cegły. To w tej ostatniej mieści się kuchnia z tymczasowym i zbyt wąskim stołem. Na nieheblowanych półkach stoją rzędem puszki z yerba mate, torby ryżu i makaronu, pięć czy więcej pękatek termosów na zimną wodę i kilka saszetek z przyprawami: otwartych, porzuconych i zapomnianych. Wszystko pokryte kurzem, daj spokój, nie ma sensu gotować dla jednej osoby, *chera'á*. Białe drzwi z twardego plastiku prowadzą do łazienki. Drugie – brązowe i z litego drewna – do ciasnej sypialni. Pokoik posiada jedno małe okno i ogromny telewizor powieszony na ścianie. Pośrodku króluje szerokie łóżko z pluszową kołdrą. Wyje klimatyzator.

Pozostawiona na pastwę upływającego czasu drewniana część domu zamieniła się w garaż i rupieciarnię. Dwa motory Cabrery drzemią ustawione na surowym betonie w towarzystwie połowego łóżka. Hantle domowej roboty – znów beton, tym razem w puszkach – zawalają przejście. Zaraz obok, gdzieś między wysokim na metr głośnikiem a zmurszałymi deskami bocznej ściany, powinna leżeć torba z węglem.

Marcos obserwuje poszukiwania przez okno. Cabrera kręci się niecierpliwie, po raz kolejny omiata wzrokiem ciemnawe pomieszczenie. W oknie spotyka spojrzenie Marcosa i odpowiada wymuszonym uśmiechem. Zobacz, jest, mówi, pochyla się nad głośnikiem, zostaw to, Cabrera, nie trzeba, i odkrywa pusty papierowy worek.

Popołudnie przynosi niewielką poprawę pogody. Niewidoczne słońce nagrzewa grubą warstwę biało-szarych chmur, które od czasu do czasu wypuszczają drobnutkie krople deszczu. Cholerna wilgoć, *chera'á*, i Marcos dyplomatycznie, że niech lepiej Cabrera przygotuje *tereré*, bo na jedzenie trzeba będzie poczekać.

W TAMTYCH czasach w miejscowości Kilometr 35 działało z piętnaście, dwadzieścia tartaków, mówi. Dookoła tylko las, dżungla, ale, tak myśli, w miasteczku mieszkało więcej ludzi niż obecnie.

Ci, którzy pracowali w tartakach, przyjeżdżali z daleka. Spotkało się Paragwajczyków – mnie, na przykład, żeby daleko nie szukać – ale większość to byli ludzie z Santa Catarina, z Rio Grande do Sul. Z połu-

dnia Brazylii, mam na myśli. Wielu z nich zostało, ale tartaku nie ma już ani jednego.

Jak się dogadywali? Jak pies z kotem. Bywały miesiące, że codziennie ktoś padał martwy: dziś Paragwajczyk, jutro – Brazylijczyk, potem znowu Paragwajczyk i tak dalej.

Alberto ma 38 lat, tęgie ciało i uśmiech, który nigdy nie schodzi mu z twarzy. Wystający brzuch wygląda na nowy, świeżo wyhodowany: nadmiar ciała nie zdążył jeszcze rozlać się po biodrach, nogach i ramionach. Patrząc na niego z tyłu, Alberto sprawia wrażenie zdrowiej, nawet wysportowanej osoby.

Nie, jakie tam planowane: szli na dyskotekę, do baru, upijali się i jeden drugiemu strzelał w łeb, podrzynał gardło. Zależy, co kto miał pod ręką. Jak na przykład? Jednego razu kuzyn szedł do roboty z samego rana, koło czwartej. Pracował na gospodarstwie u państwa Riquelmów. I słuchaj: wyjeżdżając z miasteczka w kierunku Saltos de Guairá, masz drogę gruntową w prawo, w pola, kojarzysz? Tam, zaraz obok, powiedzmy: dwadzieścia metrów dalej, działała dyskoteka. Właściwie dyskoteka z burdelem, znane miejsce. Mieli wielkie reflektory, które rozjaśniały czerwoną fasadę budynku. Trudno było nie zauważyć.

Szli we trzech: ten mój kuzyn i dwóch chłopaków, też z gospodarstwa. Każdy na koniu. Jednemu z nich zachciało się wejść do lokalu: zostawili zwierzęta przy ogrodzeniu i weszli do środka. O tej porze nikogo już nie było, dziewczyny poszły spać, klienci też, był środek tygodnia. Zostały tylko puste puszki porozrzucane na podjeździe. Pełno, unosi ramiona, poruszając nimi jak pływak, pełno puszek po piwie. Do tego jeden facet rozparty na ławeczce przy wejściu, o, na takiej jak my, rozparty na drewnianej ławeczce, nieruchomy. Brazylijczyk. Jasne, pijany jak bela, kto siedzi trzeźwy pod dyskoteką o czwartej rano.

Teraz tak: chłopaki wchodzą i jeden z nich potyka się o puszkę. Albo ją kopie, w każdym razie puszka leci i trafia w Brazylijczyka. Ten warczy, że Paragwajczyk jeden, że, no nie wiadomo do końca, co powiedział, bo mój kuzyn i tamtych dwóch, żaden nie mówił po portugalsku. Weszli do środka, kupili trzy piwa, a że nic się nie działo, to zaraz wypili do dna i wyszli. Wychodząc, nie wiem, czy drzwiami, czy nogą, ale znowu ktoś potracił puszkę.

Nóż miał kuchenny, ale takiej długości: Alberto prostuje palce wskazujące i rozstawia dłonie na szerokość czterdziestu centymetrów. Chłopaki rzucili się do ucieczki. Tyle że ten nieszczęśnik od kopania puszek to był grubszy facet: też uciekał, ale za wolno.

– PRZEWIEŻLI mnie pod plandeką, w ukryciu, jedną z tych motorówek, którymi wozi się kontrabandę między Encarnación i Posadas – mówi Cabrera.

– Ale o tym już mi opowiadałeś – mówi Marcos. – Opowiedz mi lepiej jak się zaczęło, dlaczego wyjechałeś z Paragwaju.

Zdecydował się ze względu na siostrę. Nie tak? Marcos życzy sobie, by zaserwować mu historię w wersji pełnometrażowej? Jak dla niego, Cabrery, nie ma żadnego problemu.

PRZEDMIOTY (1) |

BĘBEN

To jest bęben samoróbka, wymawia: samorobka, z membraną z urywa, przechyla głowę w tył, na poważnej dotąd twarzy miesza się wstyd i delikatne rozbawienie, z membraną z psiej skóry.

Słońce zbliża się ku zenitowi. W upale południa rozmywają się resztki porannego chłodu tropikalnej zimy. Mamy czerwiec. Tadeusz Nita, w dokumentach: *Tadeo*, wychodzi przed dom ze szklanym termosem i gorącą wodą na yerba mate. Za nim wznosi się budynek pokazowych rozmiarów i o prostej architekturze: jednolita bryła z dwuspadowym, czerwonym dachem i podłogą z nienowych desek. Intensywna zieleń potężnego mangowca zasnuwa cieniem świeżo pobielone ściany. To kolonia Fram, ulica B.

– Ojciec był jednym z pierwszych, którzy przyjechali kolonizować – Tadeusz zaczyna oficjalnie.

Strugi mleka wytryskujące z zaciskanych na krowich wymionach dłoni Ireny – żony Tadeusza i córki czeskich imigrantów – wybrzmiewają samotnie wśród niedzielnej ciszy.

Ojciec Tadeusza, Antoni Nita, w dokumentach: *Antonio*, wyjechał do Argentyny pod koniec lat dwudziestych XX wieku. Po miesiącu podróży statkiem wylądował w stołecznym Buenos Aires epoki wielkiego kryzysu. Nie znalazł pracy ani ziemi. Ostatnie pieniądze szybko się skończyły i o bilecie powrotnym do Polski nie mogło być mowy. Mówiło się natomiast, że niedaleko, w jakimś Paragwaju, sprzedawano imigrantom grunty po okazyjnych cenach. Poszli piechotą: stary

Nita wraz z grupą sfrustrowanych rodaków, którym Argentyna nie zaoferowała lepszej przyszłości. Bez grosza przy duszy, tysiąc trzysta kilometrów na północ.

– Rzeki przekraczali wpływ – opowiada Tadeusz i prostuje się na krześle z dumą syna pionierów.

On sam urodził się już w Paragwaju, więc nie zna emigranckiej epepei z własnego doświadczenia.

– Spytaj Mazalewskiego, on powinien wiedzieć coś więcej – mówi.

Marian – *Mariano* – Mazalewski mieszka w samym centrum kolonii Fram. W porze sjeisty miasteczko zatapia się w lunatycznym śnie: nieliczni przechodnie przemykają bezszelestnie w cieniach niskich zabudowań, powietrze stoi w miejscu. Ostre promienie podzwrotnikowego słońca odbijają się od srebrnych cebul prawosławnej cerkwi, która – i kto by jej się tu spodziewał: przywykłej raczej do czterdziestu stopni poniżej niż powyżej zera – wznosi się zaraz za domem Mazalewskiego.

– Kogo tam nie było: Ukraińcy, Polacy, Litwini, Rosjanie – wylicza, wpada w krótką zadumę i zaraz przypomina sobie o przystanku w brazylijskim São Paulo. – Poszliśmy na miasto: ulice tak brudne, że oczy bolały – Mazalewski kręci głową – i śmierdzące, że trudno było uwierzyć!

Opowiada, że pasażerowie-migranci byli głodni, ale w portowych uliczkach nie znaleźli nic innego niż zielone banany. Nie wiedzieli, co to, ale kupili całą gałąź.

– Ze trzysta owoców naraz – mówi Mazalewski. – We czterech nieśliśmy je na statek.

Wacława Kociubczyk emigrowała w wieku siedmiu lat. W odróżnieniu od Antoniego Nity jej rodzina wybrała Paragwaj od samego początku: dopłynąwszy do Buenos Aires, od razu wsiedli na parowiec zmierzający w górę rzeki Paraná, aż do Asunción.

– Ludzie płakali: dokąd nas wywożą? – wspomina. – Jedzenie niesmaczne, chleb twardy – uśmiecha się i znika pospiesznie w kuchni z rękami oblepionymi chlebowym ciastem i z dziewięćdziesiątką na karku.

Dawniej mieszkała we Framie tak jak Nita. Obecnie Kociubczyk zajmuje niewielki, drewniany dom na obrzeżach Ciudad del Este wśród kwiatów i warzyw nasadzonych dookoła.

Do dziś w Paragwaju chleb typu *galleta* i *coquito* sprzedaje się już wysuszony. To sposób, by uchronić pieczywo przed gniciem w wilgotnym, upalnym klimacie.

Dlaczego

Takie bębny produkowano na wsi, usiłuje opowiadać mi o tym po polsku, ale co chwila potyka się, grzęźnie, chce coś sobie przypomnieć, wreszcie otwarte od dłuższej chwili usta wyrzucają hiszpański czasownik odmieniony według polskiej gramatyki, produkowano na wsi, powtarza, bo pies zawsze jakiś się znajdzie, a krowę czy świnie w Polsce nie każdy miał.

Ojciec Waclawy Kociubczyk bił się w pierwszej wojnie światowej.

– A po wojnie byle urzędniczyzna traktował go jak śmiecia – mówi. – Dlaczego? Bo pochodził ze wsi, więc dla miastowych był nikiem.

Opowiada o tym spokojna, bez gniewu, to już tyle lat. Ale zaraz pyta mnie, czy w Polsce w dalszym ciągu obserwuje się tego typu różnice klasowe.

– Co myśmy mieli: trzy hektary, nic więcej. Z tego szkoły w mieście nie opłacisz – mówi. – A dla nas, na wsi, szkół nie było – zaręcza i dodaje – uczyli się tylko najbogatsi.

Takie to było życie, wzdycha Waclawa.

– Ojciec w młodości pracował w Niemczech – opowiada Marian Mazalewski. – Po odzyskaniu niepodległości po pierwszej wojnie europejskiej – mówi „europejskiej”, nie „światowej” – wrócił do Polski, ożenił się, żył spokojnie. Gdy wybuchła druga wojna, naziści zaoferowali mu pracę: potrzebowali ludzi, zwłaszcza tych, którzy mówili po niemiecku.

A ojciec Mariana mówił.

Jan Gazewicz – w paszporcie: *Juan Hazevich* – produkuje meble. Sam zaopatruje się w drewno: plantacja eukaliptusów rozciąga się za obszernym budynkiem fabryki. Kiedy dziadek Gazewicza padał martwy w pierwszej wojnie – byłaby europejska bądź światowa – kto mógł podejrzewać, że jego wnuk wykopie za oceanem prywatne jezioro z wysepką i ozdobnym, żelaznym mostem? Ojciec Jana Gazewicza z wojny wrócił żywy, ale w miejscu rodzinnego domu nie znalazł niczego prócz fundamentów: z małej, ukraińskiej wioski zostały jedynie zgliszcza. Przez trzy lata Gazewiczowie mieszkali w ziemiance, chudnąc stopniowo z braku pożywienia. Gdy zaczęły rozchodzić się plotki o kolejnej wojnie, stary Gazewicz nie zastanawiał się dwa razy.

– Mówili mu: co robisz, zwariowałeś, uspokój się – opowiada Jan. – Ale on już zdecydował: sprzedał wszystko, co miał, i kupił bilet za ocean.

Podczas wojny do niemieckiej fabryki, gdzie pracował ojciec Mazalewskiego, trafiali jeńcy ze Związku Radzieckiego. Zajmowali się czyszczeniem główek kapusty.

– Ci ludzie już wiedzieli, jak wyglądał komunizm w sowieckim wydaniu – opowiada Marian – i ten wcale im się nie spodobał.

Dlatego gdy walki ustały i okazało się, że Polska trafia pod radziecką dominację, rodzice Mazalewskiego nie spieszyli się z powrotem do kraju. Wręcz przeciwnie: w 1950 roku zdecydowali się wyjechać za ocean.

– Już nagrywa?

Mówię, że tak.

– Mój ojciec emigrował z szeregu przyczyn: brak pracy, brak dostępu do ziemi, zbliżająca się wojna – włączyłem kamerę i Tadeusz zmienił ton wypowiedzi. Teraz przemawia jak prowadzący kanału historycznego publicznej telewizji.

– Problem był też taki – dodaje Wacława – że nasza rodzina należy do kościoła baptystów, podczas gdy szlachta, wielcy posiadacze ziemscy i urzędnicy odpowiedzialni za dystrybucję ziemi między chłopów faworyzowali katolików.

– Chcieli pozbyć się tych „gorszych” Polaków – twierdzi Nita – opozycjonistów, grekokatolików, baptystów, mniejszości narodowych...

Nazywany polską kolonią Fram jest w rzeczywistości głównie ukraiński. Owszem, migranci, którzy przyjeżdżali, legitymowali się polskim paszportem, ale to tylko dlatego, że ukraiński wówczas nie istniał. Jeden z pomników zdobiących główną aleję Framu upamiętnia rok 2011 jako 200 lat niepodległości Paragwaju i 20 lat niepodległości Ukrainy.

Mazalewski: – Był problem z Ukraińcami na wschodzie kraju. No dobrze: był problem z chłopami w ogóle, bo brakowało dla nich ziemi. Ale Ukraińcy cierpieli podwójnie, bo w II Rzeczypospolitej traktowano ich jako obywateli drugiej kategorii.

Gazewicz: – Na naszych aktywistów, nacjonalistów ukraińskich, w najlepszym razie czekał areszt i tortury.

Mazalewski: – W 1939 roku, wraz z wybuchem wojny, wprowadzono blokadę mór: wszystkie rejsy za ocean zostały odwołane. Gdyby nie to, wszystkich Ukraińców by do Paragwaju wysłali!

Skąd wiedzieli? Wiedzieli co? No, skąd polski czy ukraiński chłop z głębokiej prowincji, zapomniany na swoich lichych pięciu morgach ziemi, wiedział, że można emigrować do Paragwaju? Wszyscy wiedzieli, mówi Nita, niemal rozbawiony, że pytam o takie oczywistości. Były reklamy w prasie, informacja rozchodziła się jak epidemia. I wszystko doskonale zorganizowane: działały zagraniczne firmy – przedsiębiorstwa kolonizacyjne to się nazywało – które kupowały wielkie posiadłości w Ameryce, dzieliły je na indywidualne działki i potem prowadziły kampanie marketingowe w Europie. Obiecywali ci wysoki poziom życia, obfite żniwa, doskonały klimat, jednym słowem: raj na ziemi po drugiej stronie oceanu. A dlaczego właśnie Paragwaj? Bo najłatwiej się było dostać.

– Musiałeś udowodnić, ile masz pieniędzy – opowiada Tadeusz – to było tak zwane „pokazowe”. Ci, którzy mieli najwięcej, mogli jechać do Stanów. Nieco ubożsi – do Argentyny. Największa biedota jechała do Paragwaju. I do Brazylii, bo to była puszcza nieprzebrana i nie wiedziałeś, co cię tam czeka.

– Mieliśmy jechać do Stanów Zjednoczonych – mówi Mazalewski – już się nauczyłem angielskiego. Ale ojciec skończył 53 lata, a do Stanów przyjmowali tylko młodych, do 35 roku życia. Na południu było łatwiej: do Argentyny brali do 45 lat, do Paragwaju zdaje się, że do 55.

Do Paragwaju jechał, kto chciał.

Początki

Pies powinien być groźny, żeby bęben zabrzmiał, jak należy, cedzi słowa przez zęby zaciśnięte w nieśmiałym uśmiechu, niepewny, czy wypada śmiać się ze skórą psa na ustach. Takiego psa, z tych najgorszych we wsi, gdy ktoś go potrącił na przykład, dobijało się, skórę wyprawiało i już miałeś gotowy materiał na bęben. Talerze, przytrzymuje między palcami poczerniały, metalowy dysk, to łuski pocisków z wojny o Chaco. Ile, prawie sto lat mają. Zgniatało się je, prasowało, i o proszę, jakie wyszły płąściutki. To nasza perkusja. Paragwajczycy nazywają ją yaguapiré: yaguá od psa, piré to skóra, psia skórka. Bęben psia skórka, powiedzmy.

Anna – Ana – Włosek mieszka naprzeciwko piekarni Mamuszka, gdzie wnuczka ukraińskich imigrantów – młoda, tęga kobieta o białawych blond włosach – piecze domowe chleby w tradycyjnych prostokątnych foremkach. Mąż pani Włosek był znanym w regionie konstruktorem mechanicznych młockarni, kiedy jeszcze budowano je z drewna. W zbiorach Domu Polskiego we Framie ostały się dwa egzemplarze.

– Pamiętam, jak krzyczałam: mamó, coś mnie gryzie, coś mnie swędzi! – wspomina Anna – i nie wiedziałam co, nie znaleźmy tutejszych żyjątek. A to jak nie komar, to wszy, do tego muchy, muszki, czego tu nie było!

W hotelu osadnika – prostym baraku, który postawiono niegdyś na terenach dzisiejszego miasteczka Fram – lokatorzy zamieszkiwali wspólnie jedyne pomieszczenie, a wilgotny upał mieszał się z kurzem, insektami i tropikalną gorączką.

– I jeszcze trzeba było płacić za te luksusy – mówi Włosek z przekąsem – a my wiele pieniędzy nie mieliśmy.

Ojciec Anny znalazł długą na 20 metrów polanę w sąsiedztwie niewielkiego strumienia. Oczyszczył teren z chaszczy i sprowadził rodzinę do szałasów o słomianym dachu i posłaniach z palmowych liści.

– Niczego tu nie było: dżungla i nic więcej, a drzewa z takimi pniami, że mogłeś wejść i zamieszkać w środku – Mazalewski nie wygląda na osobę skłoną do przesady: opowiada o gigantycznych pniach bez cienia emocji. – Ziemię sprzedawano za pół darmo: za równowartość jednej krowy dawali dziesięć hektarów. Ale to było dziesięć hektarów zarośniętych gęstą dżunglą.

Rodzina Mazalewskich kupiła piętnaście hektarów (półtorej krowy). Marian pracował na zmianę przez tydzień u sąsiada i tydzień na ojcowym, zwalając drzewa.

– Robota była ciężka, ale nie żyło się źle – opowiada. – Jedliśmy mięso: tutejsze dziki i sarny. Czasem strzelało się do jaguarów, które zakradały się do kurnika.

Po roku Mazalewscy mieli już pięć hektarów gotowych do zasiewu i młody Marian nie musiał więcej pracować poza domem.

– Jaka szkoda, tyle lasu! – żałuje Wacława, której rodzina kupiła trzydzieści hektarów, trzy krowy. – Serce się kraje, jak sobie przypominę: ścinali drzewo, czekali, aż obeschnie, i podpalali. Palili wszystko.

W tamtych czasach nie było zapotrzebowania na hurtowe ilości drewna, które ścinali osadnicy. A nawet jeśli usiłowano by je sprzedać, nie istniała infrastruktura, która umożliwiłaby ich transport i komercjalizację. Paragwajska dżungla, *Mata Atlántica*, zniknęła bezproduktywnie. Na jej miejscu została naga, gliniasta ziemia. Czerwona: można by odnieść wrażenie, że od płomieni masowych pożarów tamtych lat.

Czerwiec potrafi zaskoczyć zimmem. Nocą – trzy, może cztery razy do roku – temperatura schodzi kilka stopni poniżej zera, zmrażając sadzonki pomidorów, jeśli nie zbuduje się dla nich – jak to robi Nita – odpowiedniej szklarni. Popołudniami czasem popada, więc warto zaopatrzyć się w kurtki, czapki, a nawet rękawiczki – kto by się ich spodziewał w tropikach? – a już na pewno podgrzać porządnie wodę na yerba mate. Jeśli dla odmiany niebo jest bezchmurne, słońce świeci

niemal tak mocno, jak latem, podnosząc temperaturę do dwudziestu kilku stopni. Tylko chłodny wiatr z południa przypomni, że znajdujemy się już dość daleko od równika. Przy tym zwodniczym współistnieniu zimna i upału łatwo o przeziębienie.

– Chodźmy do środka – decyduje Nita i podnosi się z krzesła.

Południowy serwis informacyjny podaje reportaż o nieprzyjemnych zapachach w stołecznych środkach komunikacji miejskiej. Okazuje się, że w najchłodniejsze dni tegorocznej zimy ci mieszkańcy Asunción, którzy w swoich domach nie dysponują ciepłą wodą, odkładają kąpiele na lepsze czasy.

– Wygląda na to – komentator dusi się ze śmiechu, co najlepiej świadczy o tym, że on sam, owszem, cieszy się nieczęstym przywilejem ciepłej wody w kranie – że wielu pasażerów wzięło dziś tylko *pol-ski* prysznic – i naśladuje namydlenie pach i krocza.

– Polak śmierząca stopa, Polak czosnkojad, tak nam mówili – Nita zawiesza głos na ułamek sekundy, szuka właściwego określenia: to do kamery – taka przemoc psychologiczna – i je odnajduje.

Tadeusz opowiada, że nawyki związane z higieną stanowiły jedną z głównych różnic między miejscowymi a przyjezdnymi. Paragwajczycy kąpali się dwa, trzy razy dziennie w strumieniu: całymi dniami w wodzie siedzieli, mówi Nita. Tymczasem imigranci, chłopi z Europy Wschodniej, gdzie przez większą część roku woda jest lodowata, przywykli do mycia się najwyżej raz na tydzień.

Zawieźli tę praktykę za ocean, razem z czosnkiem i onucami, którymi obwiązywali sobie stopy uwięzione w ciężkich buciorach. Można sobie wyobrazić, jak pachniały tak opatulone kończyny przy czterdziestu pięciu stopniach Celsjusza i puszcząńskiej wilgoci paragwajskiego lata.

– No to my im odpowiadaliśmy: Paragwajczycy maniokojady – a co, czemu nie.

– Dojeżdżamy do Carmen del Paraná, a baby w płacz – ciągnie Wacława Kociubczyk. – Gdzie nas przywieźli? Tu dzieci gołe latają!

Taka niemoralność pospołu z nieznanymi we wschodniej Europie upałami musiała kojarzyć się co najmniej z wrotami piekieł. Anna Włosek przypomina sobie, jak wielokrotnie wraz z koleżankami ucie-

kała w panice przed grupami Paragwajczyków zaopatrzonych w maczety. Dziewczyny z Polski nie wiedziały, że te gigantyczne noże w Ameryce Łacińskiej służą nie tyle do podrzynania gardeł Bogu ducha winnym sąsiadkom, co jako uniwersalne narzędzie do pracy w polu.

Marian Mazalewski natomiast gonił Paragwajczyków z widłami, bo ci – jak zapewnia – kradli bez umiaru.

– Nasz dom miał parter i piętro. Spaliśmy na dole, na górze składowało się zbiory bawełny, zapasy drewna, tego typu rzeczy – opowiada.

I pierzynę na zimę.

– Którejś nocy – Mazalewski otwiera szeroko oczy i pochyła ku mnie głowę – słyszę, jak deski się uginają, znaczy: ktoś jest na górze. Wybiegam z domu i co widzę? – Marian, stary gawędziarz, zawiesza na chwilę głos. – Paragwajczyk biegnie już z kołdrą pod pachą. To co? Łapię za widły i za nim!

Paragwajski policjant na służbie we Framie: – Pana dokumenty? Nie, tak w zasadzie to nic, pan wybaczy, ale sam pan widzi, że to ludzie dość zamknięci. Do domu, powiedzmy sobie, nie wpuszczą ot tak. Podejrzliwi są. Pracowici, nie mówię, że nie, i właśnie dlatego, kiedy ktoś tak siada beczynnienie jak pan, a do tego obcy, to zaraz myślą: pewnie złodziej. Czy dzwonił? Dzwonili czy nie, tak naprawdę to nie wiem, ale jeśli nie zadzwonili do tej pory, to na pewno ktoś zadzwoniłby później. Do niedawna mieli tu godzinę policyjną, proszę sobie wyobrazić, dla bezpieczeństwa, sami chcieli, tak, tacy są. Że Tadcowi Nicie ktoś świnie ukradł? Nie, jakie ukradł, tutaj nikt nie kradnie, niech pan będzie spokojny. Wiem, co mówię, bo pracowałem już właściwie w całym kraju. Fram to jest raj, proszę pana, tutaj pan możesz zostawić motor z kluczykiem w stacyjce i nikt go panu nie ruszy. Tylko uczyć się nie chcą: kupi sobie luksusowe auto za tę soję, pałac sobie wybuduje, ale po hiszpańsku to gadają tak, jakby w zeszłym tygodniu przyjechali do Ameryki Południowej. Rodzajników nie używają, nic. Kiedy przyjeżdżali, patrzyli na nas jak na dzikusów. Teraz to my na nich patrzemy jak na nieuków. Chociaż, tak jak mówię, pracować, pracują, wiadomo. Ale zawsze się dziwię – bo to rzeczywiście dziwne, pan zo-

baczy – że w pracy chcą gadać o kobietach, a wieczorem przy piwie o maszynach rolniczych.

Mimo pewnych nieporozumień, polskiego prysznic, czosnkowego odoru i kradzieży kołder, przyjaźń europejsko-paragwajska zaczęła wypuszczać swoje pierwsze pędy. Pomógł wspólny wróg.

– Imigranci okazali się bardzo przydatni w wojnie o Chaco w trzydziestym drugim: uprawiali ziemię, gromadzili zboża i wysyłali żywność na front – opowiada Nita. – To wtedy niektórzy Paragwajczycy zaczęli patrzeć na nas jak na swoich.

Mówi się, że przyjaźń rozwijała się także na gruncie muzycznym: oprócz bębna z psiej skórki imigranci z Europy Wschodniej przywieźli do Paragwaju akordeon.

– Zorganizowaliśmy pierwszy ogólnoparagwajski festiwal akordeonowy – mówi z dumą Nita, to też do kamery.

Marian Mazalewski po krótkiej pogoni z widłami w ręce zdołał odzyskać kołdrę. Z córką mu się to nie udało.

– Trzeba przyznać, że za kobiety potrafią się zabrać – mówi. – Przyjechał któregoś razu pewien technik i zamiast instalować antenę telefoniczną, zaczął rozmawiać z najmłodszą z rodziny – Mazalewski kręci głową. – No i co ja jej powiem? Co prawda Paragwajczyk, ale jeśli ci się podoba, to bierzcie ślub!

Konflikt, który przepłynął ocean

Ukraińcy używali tego samego bębna, wiadomo. Ostatecznie żyli na tej samej ziemi, w tej samej wiosce mieszkał Polak i mieszkał Ukrainiec, jak by mieli nie używać. Ale przez te konflikty, przez wojnę zdaje się, ja coś czytałem, chociaż ty na pewno lepiej kojarzysz, co się tam na wschodzie wydarzyło... W każdym razie, minęło już tyle czasu i ktoś powie: śmiech bierze, że w dalszym ciągu, mówi, i znów miesza mu się niepewny uśmiech i wstyd, powiedzieć?, ale okazuje się, że wciąż, zaczyna, wątpi, nie powiedzieć?, myśli, ucieka wzrokiem w prawo, w ziemię, że kiedy robimy nasze festyny, święta, to oni tak, krzyżuje palce prawej dłoni, tak robią, żeby nam nie wyszło.

– Urodziłam się już w Paragwaju – mówi Anna Włosek i, niby w charakterze dowodu, podaje mi tykwę z yerba mate i szerokim wyborem ziół leczniczych. – Ale za sąsiadów miałam Ukraińców i Białorusinów.

Anna dorastała między nimi. W codziennych kontaktach nauczyła się wszystkich języków wschodnioeuropejskich, których używano we Framie: coś, co niezupelnie spodobalo się starszym Polakom.

– Pierwszego dnia w domu mojego męża podchodzi do mnie teściowa i pyta: co nam ugotujesz? Mówię, że *wareniki*, a ona aż podskoczyła ze złości, już rękę na mnie podnosiła – śmieje się Włoskowa i bije dłonią w kolano. – W tym domu, mówi, je się pierogi, a nie żadne *wareniki*.

Większość Polaków z Framu nie mówi już w języku dziadków i niewielu miało okazję odwiedzić Europę. To samo można zresztą powiedzieć o Ukraińcach. A mimo to wszyscy doskonale wiedzą, że „gotowane *empanady*” po polsku nazywają się pierogi, a po ukraińsku – *wareniki*.

Nikt nie ma również wątpliwości, gdzie należy szukać winowajców negatywnych wpływów i niefortunnnych wydarzeń wszelkiej maści.

Nita: – Od kiedy mój brat się ożenił, stał się jakiś dziwny, nie da się z nim rozmawiać.

Irena: – A czego ty się spodziewałaś, jeśli ożenił się z Ukrainką?

Komu się udało

Noc jest chłodna. Nita wkłada granatową marynarkę i wsiada do samochodu. Teraz, na starość, źródła dochodów potomka polskich emigrantów to nie więcej niż kilka grządek pomidorów, skromna pensja radnego gminy Carmen del Paraná i niewielkie stadko krów. Jeden z braci Tadeusza – ten od żony Ukrainki – zdołał uzyskać pozycję plantatora soi (bo okradł z ojcowizny pozostałych braci, mówi Nita; namówiony przez Ukrainkę, dodaje Irena) i finansowo idzie mu nieco lepiej.

Stary silnik samochodu zagłusza nocny koncert miliona świerszczy. Wyjeżdżamy na pustą szosę. Przez okna nie widać nic: żadnego światła, żadnego domu przy drodze.

– Dawniej mieszkało tu mnóstwo ludzi – zapewnia Nita. – Co sto, co dwieście metrów stało gospodarstwo.

Skrećamy w prawo. Do Domu Polskiego prowadzi gruntowa droga, na której samochód podskakuje posłuszny dziurom i koleinom. Tadeusz usiłuje włączyć muzykę.

– To miejscowe nagrania, nasze – wyjaśnia. – Chciałbym, żebyś mi powiedział, czy są podobne do tych prawdziwych, z Polski – kończy i usilnie uderza płytą w plastikową obudowę odtwarzacza.

Wąski otwór na kompakty chowa się w ciemności, ucieka wraz z wibracjami deski rozdzielczej. Kiedy dysk znika wreszcie za czarną klapką urządzenia, akordeony, bębny i wysoki, kobiecy głos wybrzmiewają przez krótką chwilę i zacinają się, nie dając nadziei na kontynuację. Zielony wyświetlacz wskazuje czwartą sekundę.

Jest jak najbardziej możliwe, że w tamtym momencie byliśmy w Polsce na jednej z zapomnianych tras na wschód od Wisły, w drodze na Zamość czy Krasnystaw. Mogła to być rześka, wrześnie noc, stary samochód godny przegranych transformacji lat 90. I stoicka zgoda na to, że lepiej wcale być nie musi, że tyle, ile mamy, wystarczy, a reszta to złudna pułapka nowoczesności, fałszywe miraż materialnego dobrobytu.

Powiedziałem Nicie, że nagrania są bardzo podobne do polskich.

– Tutaj mieszkali A. – Tadeusz, nie odwracając głowy, wskazuje ręką na prawo.

Pytam, co się z nimi stało. Młodzi przeprowadzili się do miasta, odpowiada, starzy pomarli. Obok mieszkał B., bił się z bolszewikami u boku Piłsudskiego. I co z nim? Musiał uciekać za Stroessnera. Bo? Bo mieli go za bolszewika. Patrzę, zdziwiony. Nita: Stroessner miał urojenia na tym punkcie, wszędzie widział komunistów. A że w tamtych czasach Polska należała do bloku wschodniego, dla niego wszyscy Polacy to byli bolszewicy. Wielu uciekło, na ogół do Argentyny.

Gazewicz: – Niektórzy Ukraińcy ulegali sowieckiej propagandzie i wracali do Związku Radzieckiego. Gdy tylko przekraczali granicę,

wysyłano ich do obozów pracy na Syberię. Jako że emigrowali wcześniej na zachód, uznawano ich za wrogów ludu.

Mazalewski: – Albo uciekali, bo nie wytrzymywali tutejszych warunków: chmury komarów, dzikie zwierzęta, żadnego wsparcia ze strony państwa, pomyśl sobie. Tu nie było nawet drogi, żeby dojechać: produkowałeś, ale nie było jak tego sprzedać, nie było gdzie i co kupić. W Paragwaju na przykład nie produkowało się wtedy dachówek. Niektórzy sprowadzali je z Argentyny, ale przez utrudnienia w transporcie wychodziło strasznie drogo. Wycinaliśmy deseczki po sześćdziesiąt pięć centymetrów i robiliśmy gonty.

Gazewicz: – Bez elektryczności, łączności, sami pośród dziewiczej puszczy, nieznannej przyrody, nieznanych chorób. Zaczynać tutaj nie było łatwo.

Mazalewski: – Kto miał kilka groszy, płacił przemytnikom i jechał do Argentyny. Trwała epoka rządów Perona, robotnik za dzień pracy dostawał worek mąki. Ziemia obiecana, bracie. W Paragwaju zostawiali tylko ci, którzy nie mieli innego wyjścia.

Nita: – C. mieszkał tu, po lewej. Podobno wykopał worek złota: zostawił dom, pole i nikt go tu więcej nie widział.

Samochód zawraca i parkuje przed budynkiem, który sprawia wrażenie zbyt wielkiego na tle wyludnionej okolicy. Nita zapala światła: z doskonałej, gęstej czerni paragwajskiej nocy wyłaniają się białe ściany Domu Polskiego i – naprzeciwko – błękitna fasada kościoła Matki Boskiej Częstochowskiej. Na spotkaniu zjawia się pięciu mężczyzn: trzech starszych i dwóch ledwo po czterdziestce. Wszyscy znoszą mięso. Stanisław, oprócz wołowiny, niesie pojemnik z pierogami (albo z warenikami, bo jego żona również jest Ukrainką).

W miarę jak obniża się poziom wina w butelkach, hiszpański ustępuje miejsca językowi przodków: zawsze ze śpiewnym, wschodnim akcentem. I ze słownictwem, które wyszło z użycia dekady wcześniej.

– Rozmawiam jeszcze *temu* co dziewięćdziesiąt lat *nazad* nauczyli mnie *ojcy*, językiem z tamtego czasu – mówi Nita. – Pewnie *niektóre razy* na *wywrót* wymawiam – śmieje się niepewnie, bo koniec końców nie wie, czy wymawia na *wywrót*, czy nie. – Ale jeszcze umiem obronić się językiem polskim! – gdzie to ostatnie zdanie jest kalką języ-

kową z hiszpańskiego *defenderse*, co oprócz „obrony” może oznaczać również „radzenie sobie”.

Ale to nie język nadaje spotkaniu tak bardzo polskiego charakteru. Trudno zresztą określić z całą precyzją, w czym rzecz: jakieś napięcie, specyficzna wibracja powietrza, której bez wątpienia nie pocujemy między rozmówcami paragwajskimi. Delikatna nerwowość obecna zawsze wtedy, gdy ja wiem, że mam rację i że ty się ze mną nie zgadzasz, i *vice versa*, bo gdzie dwóch Polaków, tam trzy zdania.

Tak na siebie patrzyli, wyczekiwali, obserwowali, szukali odpowiedniego momentu i powodu, i wreszcie znaleźli: grill automatyczny. Otóż grill nie działa sprawnie, Stachu. Wiadomo, gwint się nagrzewa, rozszerza i mięso przestaje się obracać. Zostawcie Stacha, zlecenie było: wykorzystać gwintowane pręty, które zostały po rozbiórce. Pręty wykorzystał, ale wziął za drogo. Ja bym to zrobił klasycznie, z łańcuchem od motoru. A pręty co, wyrzucić? Szkoda prętów. Szkoda. Ale lepiej wyrzucić niż budować nie działający grill. Działający czy nie, ale za siedem milionów? Kiedy temperatura dyskusji wzrosła niepokojąco, Tadeusz zaintonował, zebrani odśpiewali hymn państwowy i rozeszli się po domach.

Marian Mazalewski patrzy spokojnie w głąb obejścia. Pod blaszanym zadaszaniem stoją dwa nowoczesne kombajny, traktor, siewnik i kilka innych maszyn.

– Jednego jestem pewien: gdybyśmy zostali w Polsce, nie mielibyśmy nawet połowy tego, do czego doszliśmy tutaj.

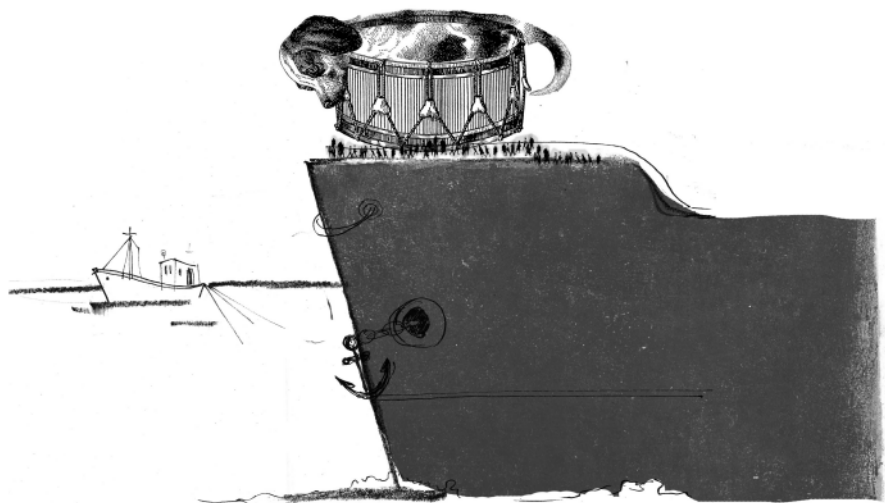
Wylicza: on i jego synowie mają co najmniej po sto hektarów każdy. W maju sieją pszenicę, w listopadzie soję. Jeśli dodać jeszcze jeden zasiew, tak zwane małe żniwa soi, *safrinha*, można dojść do pięciu zbiorów na dwa lata, nawet trzech na rok. Jak powiedział inny rozmówca: to taki dumping klimatyczny.

– A w Polsce? – Mazalewski zaciska blade usta i kręci głową. – Jedne żniwa w roku, jeszcze na tych ubogich, piaszczystych glebach. Nie ma porównania – ocenia i milknie na dłuższą chwilę, by zaraz kontynuować swoje podsumowanie.

– Że było trudno? Jasne, że było. Wielu nie wytrzymało i wyjechali. Ale ci, którzy zostali, dobrze na tym wyszli – zaręcza z całą powagą,

z całą pewnością, i dodaje, nagle rozbawiony. – Niedawno odwiedziła mnie grupka Polaków – mówi, krztusząc się ze śmiechu. – Chcieli kupić ziemię na wypadek wybuchu trzeciej wojny światowej – odchyła głowę do tyłu, teraz już śmieje się w głos. – Za późno, kochani! Nam się udało, bo gdy przyjechaliśmy, ziemię dawano za pół darmo. Dzisiaj to inna historia, bo dzisiaj ceny pięćdziesięciu czy stu hektarów najżyźniejszych ziem na kontynencie nie podaje się w krowach, a w milionach dolarów. Kogo na to stać? Kto to kupi, żeby się osiedlić? Sami starzy tu zostaniemy.

Zaraz, a bęben? Nie mów, że nie przyniosłeś. Pewnie, że przyniósł, zobacz, przy drzwiach zostawił, yaguapiré. Wreszcie go wyczyścił, Tadek, bo kurzu miał na dwa palce. Zagraj coś. No co, niech zagra! Co na przykład? Ja wiem, coś nostalgicznego. Siada. Skórzany mokasyn na stopkę perkusyjną, drewniana pałka do ręki, upływa szybko życie, śpiewa, raz w bęben, jak potok płynie czas, dwa, trzy w talerze, walc, za rok, za dzień, za chwilę razem nie będzie nas.



MINIATURY Z JAVIEREM (1) | LEKCJA HISTORII

To było w okolicach piętnastego maja, święto państwowe, więc opowiadałem dzieciakom, że konkwista, że deklaracja niepodległości i tak dalej. Jedna z dziewczynek podnosi rękę i pyta: Javier, czyli Paragwaj był kiedyś częścią Hiszpanii? Owszem, mówię, ale to było bardzo dawno temu. Dziewczynka kontynuuje: i my odłączyliśmy się od Hiszpanii z własnej woli? No tak, odpowiadam. Ludzie, którzy żyli w tamtych czasach na ziemiach znanych dziś jako Paragwaj, ogłosili niepodległość. I to jako pierwsi w Ameryce Południowej: zobacz, nawet jej chciałem wcisnąć tę tanią, patriotyczną dumę, śmieje się. Przestaliśmy być częścią Hiszpanii i tak powstał nasz kraj, tłumaczę. A ona mi na to: ale z nas barany, mówi, jeśli byśmy dalej żyli w Hiszpanii, widziałabym się z moim tatą na co dzień, a nie tylko raz na rok.

NARRACJE (2)

Matka Cabrery wyjechała do Argentyny jako pierwsza. Małego Cabrerę wysłano pod opiekę rodziny w okolice miejscowości La Colmena. Wuj Rubén miał tam niewielkie poletko, mniej więcej w połowie 20-kilometrowej, brukowanej drogi do Ybytymí. Robiłem tam, Marquito, razem z nimi: przy zbiorach, przy zasiewach. Uprawiało się bawełnę, lata temu, milczy dłuższą chwilę, jakieś trzydzieści lat. Wstawało się o czwartej rano, w pół do piątej, orało się pługiem, sadiło maniok, kukurydzę.

– Twój ojciec – pyta Marcos – wyjechał razem z matką?

– Nie, nie. Stary zostawił nas dużo wcześniej.

– Ale Mendozę poznałeś tam, pod Ybytymí, dobrze kojarzę?

– Gustavo Mendoza – wzdycha Cabrera. – Mendoza był sporo starszy ode mnie. Dzisiaj to nie ma znaczenia, ale wiesz, dla dzieciaków pięć czy sześć lat stanowi ogromną różnicę. Gustavo pojechał z nami, gdy przeprowadziliśmy się do La Colmeny. Nie wiem, co się stało z jego rodzicami. Zdaje się, że oboje wyjechali do pracy do stolicy. Tak czy inaczej nigdy więcej nie zamieszkali razem, zostawili chłopaka.

– On zawsze taki spokojny, wstydlivy – mówi Marcos.

– W La Colmenie dzieciaki go prześladowały, rzucały kamieniami – wspomina Cabrera. – Był gorszy, bo nie tylko ze wsi, ale jeszcze adoptowany.

Cienkie strużki wiją się jeszcze po gruntowej drodze, ale szerokie kanały wyżłobione w godzinach ulewy są już dla nich wyraźnie za duże. Deszcz ustał. Woda spływająca z dachu na błotniste obejście zachlapała na czerwono ściany domu, musisz sobie założyć rynny,

Marquito. I Marquito, żeby tamten powiedział o tym Danieli, bo to jej dom, nie jego, i żeby posłuchał lepiej, co mówią w radiu. Rozgłośnia z Tuparendá, miasteczka położonego jakieś trzydzieści kilometrów na północ, zapowiada w języku portugalskim deszcze na cały tydzień. Z Sylwestrem włącznie. W dalszej części programu prowadzący podaje kurs dolara (dobrze, jeśli rośnie: większy zysk w *guaraníes*, lokalnej walucie) i ceny soi na giełdzie w Chicago (znów dobrze, jeśli idą w górę). Następnie przychodzi kolej na muzykę chrześcijańsko-protestancką (znów po portugalsku) i na informację, że stan mostów na rzekach w regionie jest niepewny: nie wiadomo, czy będą przejezdne przed końcem roku.

– Ale dlaczego zostawiliście życie na wsi? – rzuca Marcos. – Ciebie to ja już znam, Cabrera: wolisz miasto, ruch, lubisz, gdy coś się dzieje – uśmiecha się po szelmowsku.

– Lubię mieć co jeść, Marquito.

– Przestało się opłacać, za bawełnę płacili grosze – Gustavo kręci siwą głową, przygaszone oczy tlą się pod pasem bujnych brwi. – Bardzo mało płacili.

Dom Gustavo Mendozy stoi przy jednej z głównych alei, które odchodzą od ronda stanowiącego centrum La Colmeny. Zimą ulice są szare, niebo – ciemne. Latem wracają kolory, ale to za mało, by rozjaśnić posępny krajobraz pustych restauracyjek o ścianach przeżartych wilgocią, sklepów z używaną odzieżą, księgarń bez książek i bazarów oferujących pluszowe misie, dziecięce wiaderka i szereg innych przedmiotów plastikowych i bezużytecznych. La Colmena leży u stóp góry, obfite deszcze padają tu niezależnie od pory roku.

– Jak mało? – pytam.

Pamięta, że dawniej za równowartość dziesięciu kilogramów bawełny, które zostawiał w skupie, wynosił ze spożywczego całą torbę zakupów. I że teraz, mam sobie wyobrazić, że teraz ledwie starcza na kilogram ryżu czy paczkę yerba mate.

– A za maniok, za kukurydzę ile płacą?

– Jeszcze mniej – Gustavo ucina, milczy przez dłuższą chwilę, w końcu, niepytany, kontynuuje. – Na wsi nie było ani pieniędzy, ani

szkół. Mój ojciec chciał, żebym przynajmniej skończył podstawówkę, więc wysłał mnie z Rubénem do La Colmeny.

Nie znalazłszy go w domu, Cabrera poszedł szukać węgla w sklepie obok. Teraz, gdy ogień ustabilizował się, Marcos dokłada drewna: grube, przesiąknięte wodą deski syczą nad gorącym żarem. Cabrera przytrzymuje tykwę w dłoni, twoje *tereré*, Marquito. Czekaj, aż Marcos skończy układać, przestawiać i wyrównywać cztery okazałe cegły, które będą podtrzymywały czarną patelnię polową, kochanie, kura gotowa? Daniela pojawia się w drzwiach z metalową tacą pełną kanciaszych kawałków zamrożonego zwierzęcia.

– Twój dziadkowie byli z Włoch, prawda, Marquito? – zagaja Cabrera bez większego zainteresowania: znają się od niedawna, o coś trzeba zapytać. – Europa, bogate strony – dodaje z pewnością znawcy sytuacji ekonomicznej krajów zamorskich.

– Z Niemiec. Bogate... I ty myślisz, że wyjechali do Brazylii na wakacje? – Marcos, uzbrojony w długi nóż kuchenny, strąca posiekany czosnek na rozgrzaną patelnię.

– Nie no, jasne. Przed wojną uciekali, tak to było?

– Przed wojną – potwierdza Marcos tonem informacyjnym, właściwym komuś, kto wie z opowieści, ale nie miał okazji poznać osobiście. – Nie mieli co jeść. Domy, gospodarstwo, wszystko zniszczone – spada cebula posiekana w kostki, zielona papryka w plastrach, olej przyska na wszystkie strony.

Jego dziadek opuścił Europę po drugiej wojnie światowej i schronił się w Brazylii. Gdy później rodzina przeprowadzała się do Paragwaju, ojciec Marcosa miał 20 lat.

– No, ale jeśli Niemiec, to może uciekał z innych powodów – Cabrera zaczyna ostrożnie. – Podobno wojskowi wyjeżdżali, bo mieli być sądzeni za zbrodnie wojenne. Na przykład Hitler umarł w Paragwaju, wiedziałeś?

– Nie wiem, gdzie umarł Hitler, Cabrera, ale mój dziadek zdechł w Santa Ricie, uparty jak wół – teraz kawałki kury: łapie pierwszy dwoma palcami, przygląda się olejowi, dość gorący?, wrzuca, patrzy z zadowoleniem na burzę białawych bąbelków, znaczy: gorący. Wrzuca kolejne dwa, złoty zegarek odcina się od czerniałego metalu

patelni, olej tryska, parzy mu dłoń, cholera jasna, przechyła tacę i opróżnia ją jednym zdecydowanym ruchem.

– Uparty, bo nie chciał przeprowadzić się razem z wami do Apepú?

– Uparty, bo nie chciał przestać palić, Cabrera – Marcos ciągnie rozdrażniony. – Ty, przyjacielu, skończysz tak samo – na koniec pomidory i ciężka, metalowa pokrywka.

– Na coś trzeba umrzeć, Marquito.

– Powodzenia – mówi Marcos tonem fałszywego oburzenia, coś w rodzaju: zobacz, jak mało mnie to obchodzi, chociaż tak naprawdę wiesz dobrze, że obchodzi mnie bardzo.

WBIE ostrze w podbrzusze do samego końca, aż do rękojęści. A potem jeszcze tak – Alberto łapie energicznie trzonek nieistniejącego noża i kręci dłonią na boki – o tak jeszcze zrobił. Pozostali uciekli. Zostawili konie przywiązane do ogrodzenia i pognali do domów na piechotę.

PRASA (1) |

MAŁE MIASTO TANIO SPRZEDAM

Argentyński dziennik „La Nación” donosi z Puerto Casado w Paragwaju:

Dziś przyjechali przedstawiciele firmy Carlos Casado SA i poinformowali nas, że zostaliśmy sprzedani sekcje Moon – powiedział dziennikarzom burmistrz Puerto Casado, Pablo Antonio Benítez.

Senatorka opozycyjna Elba Recalde wierzy jednak, że jeszcze nie wszystko stracone:

Carlos Casado nigdy nie płacił podatku gruntowego. W ramach rekompensaty można zażądać zwrotu na rzecz Skarbu Państwa terenów zajmowanych dziś przez miasteczko – twierdzi Recalde.

Według różnych źródeł sekta Moon zgromadziła w Paragwaju ziemie o łącznej powierzchni około sześciuset tysięcy hektarów, co stanowi 1,5% powierzchni kraju. Miasto i gmina Puerto Casado rozciągają się na nie więcej niż pięciuset hektarach. Brzmiałoby więc rozsądnie, gdyby nowi właściciele nie sprzeciwiali się nacjonalizacji tak skromnego fragmentu swoich przepastnych dominiów, zwłaszcza jeśli

miałoby to pomóc w zażegnaniu konfliktu z okolicznymi mieszkańcami. Ale ziemską logikę nie zawsze zgadza się z boskim porządkiem, a jak informuje „La Nación”, nabywca miasteczka ogłosił się bezpośrednim przedstawicielem niebios:

Ruch pod Wezwaniem Ducha Świętego dla Zjednoczenia Chrześcijaństwa Światowego został założony w 1954 roku przez Sun Myung Moona – koreańskiego inżyniera-proroka. Mężczyzna podaje się za nowego mesjasza.

Każdy dobry film katastroficzny rodem z Hollywood pokazuje, że kiedy sytuacja staje się wyjątkowo krytyczna, do akcji wkraczają bohaterscy funkcjonariusze amerykańskich służb porządkowych, którzy ratują świat przed zagładą. Sprawa azjatyckiej sekty najwyraźniej nie jest wyjątkiem, a pierwsze kroki zaradcze podjęto już na początku lat osiemdziesiątych:

Moon został aresztowany w Stanach Zjednoczonych w 1982 roku, oskarżony o oszustwa podatkowe. Mówi się także o związkach Koreańczyka z przemytem broni i spekulacjami finansowymi na dużą skalę

– kończy swój raport dziennik „La Nación”.